

Alex Tamir, Karolina Famulska

O Szopenie, Wilnie i przygodach z tożsamością

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 371-373

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

O SZOPENIE, WILNIE I PRZYGODACH Z TOŻSAMOŚCIĄ ROZMOWA Z PROFESOREM ALEXEM TAMIREM

Karolina Famulska: *Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoich korzeniach, o swoim wileńskim dzieciństwie?*

Alex Tamir: Bardzo mało pamiętam. Urodziłem się w Wilnie w 1931 r. Ojciec — dr Noach Wołkowyski, asymlator, był laryngologiem. W domu mówiliśmy tylko po polsku. Jidysz nie znaliśmy w ogóle. Ojciec był także docentem na uniwersytecie — jedynym żydowskim lekarzem w tym gronie. Chodziłem do szkoły żydowskiej. A jednak nauczano w niej tylko po polsku. To była szkoła Epsteina.

W czasie wojny był Pan cały czas w Wilnie?

Do likwidacji getta. W 1939 r. wyjechaliśmy do Rosji. Najpierw przebywaliśmy na Białorusi — w Mińsku, w Witebsku i w Połocku. W 1939 r. Rosjanie oddali Wilno Litwinom, których myśmy się bardzo bali, bo słynęli z antysemityzmu i z wrogości do Polaków. Kto tylko mógł, uciekał. Do 1941 r. przebywaliśmy w Rosji. Nie wiem z jakiego powodu Rosjanie postanowili w 1941 r. odebrać z powrotem Wilno Litwie. Wróciliśmy więc do domu i wtedy nagle weszli tam Niemcy. Zaczął się czas getta — dwa lata. W 1943 była „likwidacja” getta. Dla mnie to był koniec Wilna.

Czy udało się jakoś uciec?

Nie. Potem były obozy koncentracyjne.

Czym było wejście Niemców i ich postępowanie dla takiej jak Pańska zasymilowanej rodziny?

Trzeba zrozumieć, co znaczy słowo „zasymilowany”. Członkowie mojej rodziny czuli się Polakami, ale to nie oznaczało, że nie chcieli być Żydami. W asymilacji chodziło o to, żeby nie wyróżniać się w otoczeniu. A jednocześnie ojciec należał do Bundu. Chociaż było oczywiste, że w domu po żydowsku się nie mówi i syn musi dostać polskie wykształcenie. Jednak dużo to nam potem nie pomogło... [To jedyne odniesienie do wydarzeń z czasów Zagłady. Rozmówca wyraźnie unika tego tematu, szybko wraca do kwestii asymilacji — K.F.] Nawet dziadek ze strony ojca pochodzący z Łodzi był już zasymilowany i wykształcony. Wszyscy w moim rodzinnym otoczeniu mówili po polsku. Matka pochodziła z rodziny tradycyjnej.

Dlaczego się asymilowali?

Nie było łatwiej. Może nawet trudniej... Oni byli dumni z tego, że byli wykształconymi ludźmi. Ale nie chcieli przestać być Żydami. Mój ojciec musiał stoczyć batalię, żeby pracować na uniwersytecie.

Czy, kiedy skończyła się wojna, zastanawiał się Pan, co dalej?

Zostałem oswobodzony w kwietniu 1945 r. z obozu w południowych Niemczech. Nawet nie wiedziałem, czy matka żyje czy nie. Wiedziałem tylko, że ojca zabili dwa lata przed wyzwoleniem. Nie zastanawiałem się, co dalej. To było dla mnie oczywiste — taki silny impuls, żeby szukać rodziny. A jedyni krewni, jacy mi zostali, mieszkali w Palestynie. Więc tu przyjechałem. Dopiero po latach zacząłem myśleć, że może jednak warto by było starać się o polskie obywatelstwo. Nie-kiedy jeszcze to rozważam.

Jakie były pierwsze wrażenia po przyjeździe do nowego kraju?

Mieszkała tu duża rodzina. Dziadek umarł dwa, może trzy miesiące przed wojną. Miał siedmiu synów i siedem córek. Kto miał czas przyjechać na pogrzeb przy okazji uciekł przed Hitlerem... Mój ojciec nie miał czasu. Od 1945 r. zacząłem zupełnie nowe życie tutaj. Było łatwo, miałem babcię, licznych kuzynów. Byłem jednym z wielu izraelskich Wołkowyskich. Bardzo chciałem uczyć się muzyki. Poszedłem do szkoły muzycznej. Życie zaczęło się układać.

Z muzyką miał Pan już kontakt wcześniej, prawda? Przejmujące „Stiller, Stiller” to dzieło jedena-stolatka!

Zacząłem się uczyć gry na pianinie w wieku pięciu lat.

Kontynuował Pan naukę w getcie?

W getcie próbowaliśmy mieć normalne życie. To był taki kulturowy ruch oporu. Działały — orkie-stra, chór, szkoła. Uczyliśmy się aż do likwidacji. Ja uczyłem się muzyki. Dlatego skomponowałem tę piosenkę, która stała się bardzo popularna. *Stiller, stiller* ma trzy zwrotki. Pierwszą napisał mój ojciec po polsku. Druga była po żydowsku — Karczybylski przetłumaczył polski tekst. Trzecia po hebrajsku w przekładzie Szlonskiego. To część historii.

Czy później Pan jeszcze komponował?

Napisałem jeszcze jeden temat z wariacjami. Jeszcze przed przyjazdem tutaj. Tu sobie to nawet zapisałem. Ale ja nie jestem kompozytorem, tylko pianistą. Choć przez tę jedną piosenkę należę do dzisiaj do Związku Kompozytorów.

Pana kariera przebiegała w imponujący sposób. Ściany Pańskiego domu zdobią afisze z całego świata. Czy może Pan trochę o tym opowiedzieć?

Co tu dużo mówić. Trzeba mieć oczywiście talent, motywację, chęć. Ale trzeba mieć też szczęście. A my mieliśmy kolosalne szczęście. Byliśmy na całym świecie.

A co Pan lubi grać?

Muzyka jest dobra albo niedobra. Nawet Beethovenowi zdarzały się kiepskie kompozycje. Ja lubię grać tę dobrą.

Kiedy nawiązał Pan na nowo kontakt z Polską, już jako Izraelczyk?

Wracam często do Polski. Mam tam wielu przyjaciół. Tutaj w Izraelu działałem w Towarzystwie Szopenowskim. Prawie co roku jeżdżę do Polski, zwłaszcza do Nowego Sącza, bo tam jest warsztat kameralistyki Szopenowskiej. W 1967 r., przed wojną sześciodniową, kiedy między Izraelem a blokiem komunistycznym panowały cudowne stosunki mieliśmy [z Brachą Eden] tournée w PRL. Zetknęliśmy się z wieloma wspaniałymi ludźmi (niektórzy z nich zresztą wkrótce znaleźli się w Izraelu, na przykład ówczesny szef Konkursu Szopenowskiego, Bystrzycki z PAGART-u...). Pamiętam z tamtego pobytu jazdę taksówką w Warszawie. Była straszna pogoda — chmury, mgła. Kierowca zorientował się na podstawie mojego akcentu, że nie jestem miejscowy. Zapytał skąd jestem. Powiedziałem, że z Wilna, a on na to: „Piękna pogoda dzisiaj!”. „Jak to?” — zapytałem. „No, nie widać tego Pałacu Kultury...”. Graliśmy też w Krakowie i w Wrocławiu. Dostaliśmy za te recitale mnóstwo pieniędzy, których nijak nie można było wywieźć, a wydać też bardzo trudno. Potem od około 1985 r. znowu zacząłem przyjeżdżać regularnie.

A miał Pan okazję, by odwiedzić też Wilno?

Do Wilna nie chciałem jechać, bardzo się bałem. Duża część tamtej pamięci jest niezbyt sympatyczna. Likwidacja getta... Bałem się tej pamięci. Ostatecznie jednak pojechałem dwa razy, żeby zrobić program dla telewizji izraelskiej cztery lata temu. Chodziło o piosenkę *Stiller, stiller*, która stała się bardzo słynna w obozach i w ogóle wśród Żydów. Dlatego telewizja zabrała mnie do Wilna. Jednak pamięć zawodziła. Miałem wskazać nasz rodzinny dom, wskazałem, a potem okazało się, że zapamiętałem „5”, a to był numer „25”. Po polsku nie można było tam mówić. Po rosyjsku owszem — dla komunikacji. Ale gdy zapytać o cokolwiek po polsku — nikt nie odpowie. To już zupełnie inni ludzie. Nie ma tam Polski. Nawet Żydzi są inni. Tkwią z własnej woli w anty-semityzmie. Niczego nie czulem w czasie tej wizyty, żadnego wzruszenia... Z Polską mam kontakty, ale Wilno to nie Polska.

A jak to się stało, że Aleksander Wołkowyski został Aleksem Tamirem?

W 1959 czy 1960 r. — lecieliśmy z Izraela do Nowego Jorku na koncerty. Lot trwał 34 godziny. Oczywiście było mnóstwo międzyśladowań. Na pokładzie był z nami Mosze Szaret. Chodził po samolocie, czuł się jak u siebie. Wypytywał pasażerów, kto jest kim. Bracha już wtedy nazywała

się Eden. Okazało się że premier znalazł jej ojca, adwokata Łuczyńskiego. Potem przyszła kolej na mnie. Szaret był wzburzony: „Ty jedziesz z nazwiskiem Wolkowyski reprezentować Izrael?! Jak jakiś futbolista amerykański. Z polskim «sportywnym» nazwiskiem”. Wtedy akurat wielu amerykańskich futbolistów miało polskie nazwiska (i polskie korzenie)... Gestykułował. Krzesło się pod nim rozpadło. Wszyscy patrzyli na mnie, co ja zrobiłem premierowi. Więc stwierdziłem, że się poddam. I „przechrzcili” mnie w samolocie. Byłem pierwszym Tamirem w Izraelu. Drugim został Szmul Kacnelson.

Co znaczy to nazwisko?

Tamir to znaczy wzniosły, wysoki — w sensie duchowym. Trochę jak palma — *tamar*.

Czy poczuł się Pan kimś innym?

Tamirem!

Czym jest Polska dla Pana teraz?

Na pewno wciąż mam sentyment. Trudno obiektywnie powiedzieć, na czym to polega. Trzy czy cztery lata polskiego kształcenia wywarły na mnie duży wpływ. Kultura i dobre wychowanie kojarzą mi się z Polską. I z Rosją. To coś, czego brakuje w Izraelu czy w Ameryce. Polska to Polska. To jak odbudowali Stare Miasto w Warszawie. Gdzie znajdziesz naród, który za swój symbol wybierze sobie muzykanta — jak Polacy? Gershwin nigdy nie będzie dla Amerykanów tym, czym dla Polaków Szopen czy Paderewski. Amerykanie powiedzą po prostu: „bardzo ładna muzyka”. W Kanadzie znalazłem miejscowość o nazwie Wolkowysk, Wilno też. Zwracam uwagę na takie rzeczy. A poza tym — mazurki Szopena to jest esencja. Z takim programem (z referatem i z prezentacją) przyjechałem do Warszawy na kongres. Wykazałem się żydowską hucpą i przyjechałem z Jerozolimy do Warszawy, żeby opowiadać o esencji polskości. Zostało to zresztą bardzo dobrze przyjęte. Okazało się, że żaden mazurek Szopena nie jest czystym mazurkiem. Ktoś, kto się urodził w Polsce, będzie je zawsze dobrze grał. Jeżeli np. Chińczycy grali cudownie, to znaczy, że mieli pewnie polskiego pedagoga. Ten specyficzny polski rytm mają też niekiedy Rosjanie, bo to niedaleko... Czajkowski też niekiedy pisał mazurki. Chodzi o to, żeby grać inaczej niż jest napisane. Polonez to już nie to.

A jacy są wobec tego Żydzi w Izraelu? Czy też może Pan wskazać na jakieś wyraźne cechy tej zbiorowości, tak jak w przypadku Polaków?

Nie da się zbyt wiele powiedzieć. To wszystko jeszcze się kształtuje. Nie można mówić o narodzie w Izraelu. Każdy ma swoje korzenie. Są liczne towarzystwa, ziomkostwa. Szczególnie uderzające to jest w przypadku przybyszów z Rosji. Oni pielęgnują swoją rosyjskość. Są też w Izraelu znakomici wilnianie. Na przykład pianista Emanuel Krassowski — przy czym on ma bliskie związki z kulturą litewską. Nawet mówi po litewsku. Natomiast Moti Szmidt, znakomity skrzypek, profesor akademii — jest bliższy kulturze polskiej. Do dziś utrzymuje kontakty z Wilnem. Oni też mogliby dużo powiedzieć o swoich korzeniach.

(Jerozolima, sierpień 2005 r.)

Rozmawiała Karolina Famulska (Toruń)